

Lojalka

Kiedy zadzwonił, że chciałby przyjść, godzinę wcześniej chłopak z drukarni przywiózł dwie paczki, więc w normalnej sytuacji byłoby, jak znalazł. Ale to nie była normalna sytuacja. Nie chciałem się z nim spotykać.

Nalegał jednak tak długo, że się w końcu zgodziłem. Pomyślałem, że musi mu być teraz ciężko.

Przed jego przyjściem zaciągnąłem zasłony w pokoju. Ściemniało się już, trzeba było zapalić światło, a nie chciałem, żeby ktoś z bloku naprzeciwko mi tu zaglądał. Przy okazji wyjrzałem przez okno. Ulica była pusta, tylko skrajem chodnika szedł jakiś facet z wyżłem na smyczy. Ostatnio już tylko psiarze wychodzili, choć powoli zaczynała się wiosna i nawet wieczorami było całkiem ciepło.

Zjawił się po pięciu minutach. Musiał dzwonić do mnie z budki pod blokiem. Czyli przyjechał tu w ciemno, nawet nie wiedząc, czy mnie zastanie. I czy zgodzę się z nim spotkać. Znał mnie tak dobrze, czy był aż taki zdeterminowany?

Wyglądał marnie. Błady, z powiekami jak skrzela ryb, niewyspany – jak to po siedzeniu na dołku. Ale nie wydawał się specjalnie przygnębiony, co mnie zdziwiło. Ja na jego miejscu usiadłbym w kuchni i wytrąbił cały kartkowy przydział wódki, może nawet uzupełniłbym domowym bimbrem. I na pewno przynajmniej przez pewien czas nie pokazywałbym się ludziom na oczy. A on na luzie, pełen spokój. Wszedł, przywitał się, poprosił o herbatę. Jakby nigdy nic.

Posadziłem go przy stole w kuchni, zrobiłem mu tę herbatę, postawiłem przed nim szklankę w koszyczku i siadłem naprzeciwko. Spojrzał na mnie pytająco.

– A ty? Nie pijesz?

– Piłem niedawno kawę. A nie chcę się na wieczór nakręcać.

Nic na to nie powiedział. Upił łyczek i odstawił szklankę.

– Gorąca – powiedział, jakby się usprawiedliwiał.

Trochę się zniecierpliwiłem. Nie zamierzałem z nim rozmawiać o herbacie.

– Więc co? – spytałem prosto z mostu. – Podpisałeś?

Kiwnął kilkukrotnie głową, patrząc gdzieś w bok. Dobrze, że się chociaż nie wypierał. Bo już wiedziałem, spytałem tylko dla formalności. Od początku wyglądało to podejrzanie, nie wypuszczali przecież za darmo i zwłaszcza tak szybko, a on po kilkunastu godzinach był już wolny. Potem się potwierdziło.

– A czy to coś zmienia? – spytał, przenosząc na mnie wzrok. – Przecież mogę nadal...

– Nie możesz – przerwałem mu. – Jak to sobie wyobrażasz? Nikt z chłopaków nie będzie chciał z tobą współpracować.

Popatrzył na mnie ze zdziwieniem, które wydawało mi się autentyczne.

– Przecież to tylko papier. Bez znaczenia.

– Tak ci powiedzieli na komendzie? – zadrwiłem. Słyszałem o przypadkach, gdy esbecy mówili: „Przecież to tylko formalność. Podpisze pan, wyjdzie i będzie pan robił, co chce”. Rzadko się zdarzało, ale zdarzało.

Nie odpowiedział, gapił się na mnie bezmyślnie. Zirykowałem się.

– No nie udawaj, że nie rozumiesz. Tu nie chodzi o sam kwit, tylko że się złamałeś. Następnym razem podpiszesz współpracę.

– Przecież wiesz, że to nie to samo.

– Wiem.

– Więc dlaczego?

Znowu się zirykowałem, choć teraz głównie na siebie, że nie wiem, co mu odpowiedzieć. Czasem najoczywistsze sprawy najtrudniej wyjaśnić. I wtedy miele się frazesy „pewnych rzeczy się nie robi”, a tego nie chciałem. Wzruszyłem ramionami.

– Bo po prostu dałeś dupy.

To była prawda. Dał dupy po całości. Najpierw głupio wpadł, drogówka go zatrzymała za przekroczenie prędkości, a w samochodzie miał trzy egzemplarze. Potem na komendzie podsunęli mu zobowiązanie, że będzie już grzeczny, a on podpisał, choć przecież nic oprócz tych gazetek na niego nie mieli, pewnie i tak by go wypuścili.

Pomyślałem, że niepotrzebnie zgodziłem się z nim spotkać. Żaden z chłopaków nie chciał. Ale mnie jako szefowi jakoś wypadało go pożegnać. Trochę zresztą żałowałem, że go tracę. Był dobrym kolporterem, odważnym, ale nie szarżującym. Zawsze też ucziwie się rozliczał, co nie było regułą. No i świetnie prowadził, wiadomo – zawodowy kierowca. Jeździł na pół etatu w jakimś absurdalnym peerelowskim urzędzie i niekiedy nawet rozwoził paczki z gazetą służbowym samochodem.

Ale cóż – sam się wyrzucił. Z wilczym biletem, jak mówiono przed wojną. Bo z taką plamą w życiorysie nigdzie indziej go nie wezmą. Takie rzeczy się rozchodzą. Wiedział o tym.

Pokiwał głową i głośno westchnął.

– Dobra, dałem dupy – przyznał – Ale daj mi wyjaśnić.

Nie miałem nic przeciwko. Nawet się trochę dziwiłem, czemu tego od razu nie zrobił, zamiast głupio udawać, że nic się nie stało. Przecież chyba głównie po to do mnie przyszedł. Sam też byłem ciekaw. Miałem go zawsze za twardego zawodnika i jakby mi kiedyś ktoś powiedział, że podpisze lojalkę, to bym go wyśmiał.

Zachęciłem go gestem – wal. Dopił herbatę do końca, przetarł usta wierzchem dłoni.

– Więc posłuchaj – zaczął. – Wczoraj zadzwonili do mnie z biura Krystyny, że zemdląca i karetka zabrała ją do szpitala. Zatelefonowałem, dowiedziałem się, że ma ostre zapalenie trzustki. Stan krytyczny, nieprzytomna, następnego dnia mają operować. Więc wskoczyłem do samochodu, w tym pośpiechu zapomniałem go uprzątnąć. No i faktycznie dawałem za ostro... Jak mnie zhaltowali, próbowałem ich uprosić, żeby puścili, że żona umiera. I to był mój błąd. Bo jak przyuważyli te gazetki, to mnie i tak zawieźli na komendę, a tam jeszcze przekablowali esbekom, jaką mam sytuację. I ci potem cały czas tylko powtarzali: „No, to żony pan żywej nie zobaczy...” – umilkł, zapatrzył się w blat stołu, po chwili ruszył dalej: – Pytali mnie, skąd te gazetki, trzy egzemplarze, ale ten sam numer, więc rozprawiam... Jakoś się wyłgałem, że znalazłem na ławeczce koło domu, pewnie ktoś celowo zostawił, żeby inni przeczytali. Mieli też na mnie jakieś haczyki w papierach, wiedzieli, że coś tam działałem,

próbowali więc ze mnie zrobić konfidenta. A jak się połapali, że na współpracę nie pójdę, to podsunęli mi tę lojalkę – znów na chwilę umilkł. – W nocy nie spałem i cały czas myślałem o tej operacji. I że muszę... po prostu muszę się dostać do tego szpitala... popatrzeć na nią, choć przez szybkę, bo wiadomo, że tam, gdzie leży, nie wpuszczają. I jak mnie rano wzięli na górę, podpisałem. Na odpiardol się, żeby coś mieli i odczepili się ode mnie.

Zapadła cisza. Żaden z nas się nie odzywał. On patrzył na mnie wyczekująco, ja w milczeniu przeżuwałem to, co usłyszałem. Cisza między nami robiła się coraz głośniejsza. Szumiało w rurach, za oknem głucho czekał pies, pewnie ten wyżeł.

– No, a co z Krystyną? – spytałem. W końcu to było teraz najważniejsze.

Aż się rozpromienił.

– W porządku. W środę wraca do domu.

– Chirurg złota rączka?

– No!

W gruncie rzeczy jednak cały czas myślałem o tym, co powiedział. Nie zmyślił tego, żeby mnie wzruszyć, tego byłem pewien. Zresztą wszystko było do sprawdzenia. Byłem też pewien, że nie poszedł krok dalej i rzeczywiście nie zgodził się kapować. Żeby zobaczyć umierającą żonę, był gotów na wiele, ale jednak nie na wszystko. Ale tylko tych dwóch rzeczy byłem pewien. Reszta tonęła w zamęcie. Nie umiałem sobie tego wszystkiego ułożyć. Przyszło mi do głowy, że życie potrafi być jednak cholernie skomplikowane.

Musiałem jednak wymyśleć teraz coś konkretniejszego niż takie mądrości. Nie mogłem go tak trzymać. Zerknąłem w okno. Za zasłonami było ciemno.

– No dobra – powiedziałem z ociąganiem. – Nie wiem, jak reszta, ale ja ci odpuszczam. W skrytce, wiesz, gdzie, są nowe paczki. Jak jesteś samochodem, możesz je od razu zabrać.

Gęba mu się rozjaśniła, zerwał się na równe nogi jakby jakiś gwoździak w krześle ukłuł go w tyłek. Nie wiedziałem, że ludzie mogą tak szybko wstawać.